

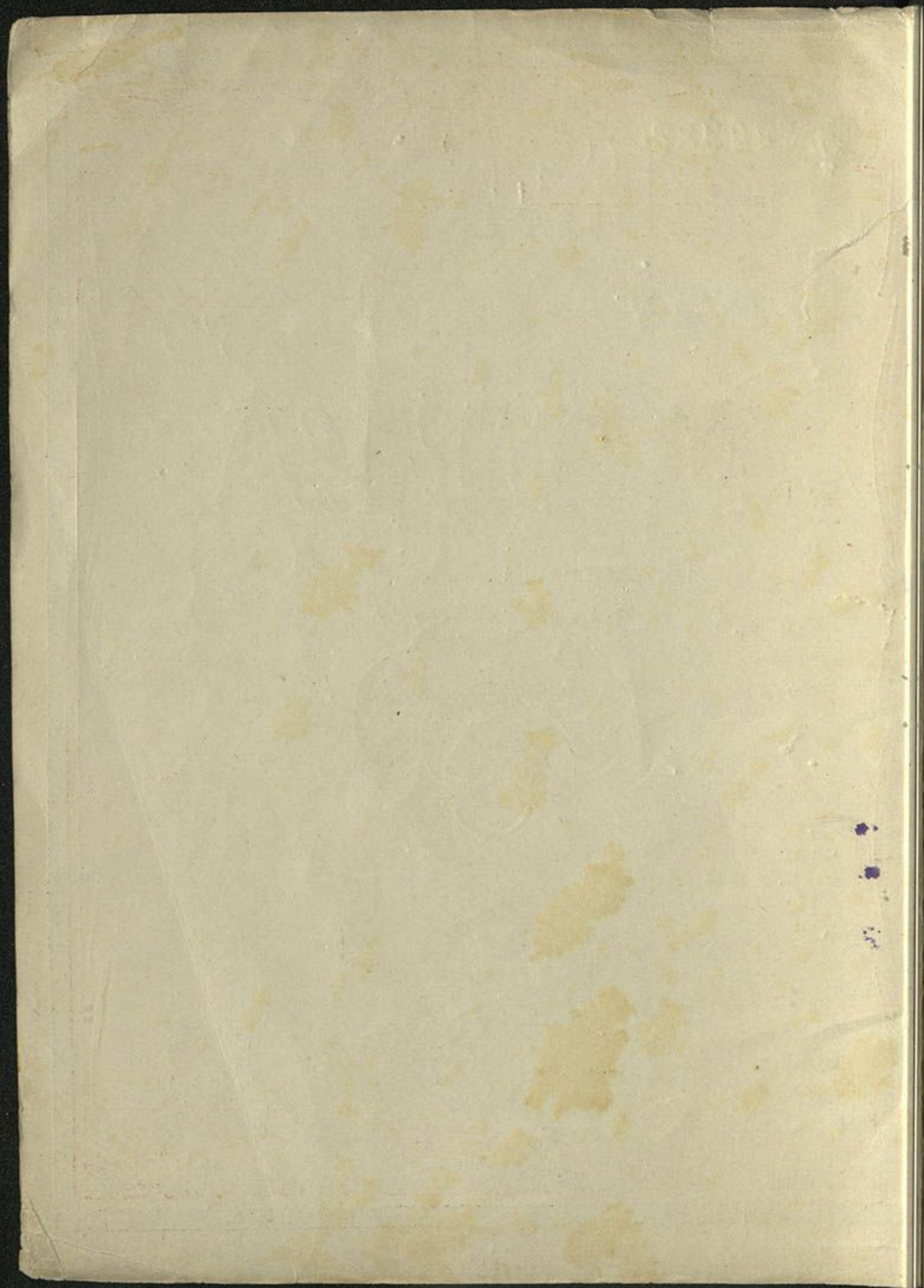
бэ 26,388

J. NIEMAŃSKI

MATEKA



Diatowskie
Wydawnictwo Państwowe
MIŃSK
9 2 8



Ба 26388

J. NIEMANSKI

M A T K A

*Tłumaczyła z białoruskiego
J. Moszyńska - Heltmanowa*

Бел. аддзел
1994 г.

Бібл. 1953 ба 26388

БІАЛОРУСКІЕ ВYДАВНІЦТВО ПАЃСТWOWE
M I Ń S K — 1928

БІАЛОРУСЬКА

М. А. Т. К. А.

Міжнародна конференція
у Мінску 1945 года

Обсталunek № 126.

Nakład 1.500 egz.

Gławlitbieł № 435.

1-sza tłocznia Białoruskiego Wydawnictwa Państwowego.

I

Kilka szczap smolnych, tlejących na przypiecku, za ledwo rozpraszało mrok w izbie. Płomień to zamierał, to znów wybuchał pełgającymi językami; zdawało się, że po chałupie lata olbrzymi motyl, o skrzydłach z jednej strony jasnych, a z drugiej ciemnych. Stół, zydel, tapczan i inne sprzęty w izbie zdawały się żyć: wszystko było w ruchu, zwiększało się, lub zmniejszało, tylko dźwięku żadnego słyhać nie było. Jedynie z podwórka za oknem rozlegał się bezustanny poświst wichru i łoskot czegoś o ścianę.

Stara Taćciana siedziała na ławie naprzeciwko pieca i nie mrugającymi oczyma patrzyła na tlejące karcze. Jakbądźbyś się w nią wpatrywał ze strony, nie rzekłbyś, że to żywy człek siedzi: żaden nerw nie drgnął w jej twarzy, oczy miała jakby zasnuć ciężką zasłoną, suche ręce zaciśnięte na pierśsiach. Cała jej postać harmonizowała całkowicie z mrokiem izby i z temi bezdźwięcznymi harcami, które, w takt muzyki grajka—wiatru, wyprawiały po chałupie różne sprzęty.

Jedynie podczas mocnych porywów wiatru, gdy z podwórka rozlegał się łoskot o ścianę i o drzwi sieni—Taćciana wzdrygała się i głowa jej odwracała się w bok, ku wyjściu. Lecz natychmiast kobieta wracała do zwykłej pozycji, tylko po twarzy jej chwilowo przesuwiał się cień niezadowolenia. Tak siedziała długo, nie wiedząc ani dnia, ani godziny.

Wiele nocy spędziła Taćciana sama w swej pustej chacie. Dawno już skończyło się jej życie, zdolność odbierania bieżących zjawisk. Wszystkie jej dumki, całe uczucie—to prze-

szłość, i przeszłość tę rozgrzebuje ona co noc w swej starej głowie. Nie ma żadnych pragnień, prócz jedyne, którym żyje już pięć—sześć lat. W długie noce przypomina sobie wszystkich znanych jej świętych—zwraca się do wszelkich sił potajemnych i błaga je o zmiłowanie, o spełnienie jej pragnienia. Ale próżne wszystkie jej modły, wszystkie skargi...

Sporo czasu żyła Taćciana ze swym Bazylem w Pietrykowie. Pobrali się, gdy Bazyli miał już koło dwudziestu ośmiu lat i był nietylko dobrym cieślą, ale zaczynał potrochu brać zamówienia na budowę niedużych berlinek. Czas mijał i Bazyli Tałoka stał się najbardziej znanym wśród pietrykowskich majstrów i dostawców.

Zaczęło się im dobrze powodzić, mieli własny domek o trzech pokoikach. Starszego swego chłopaka, Michasia, zapragnął Bazyli zrobić „uczonym“ i posłał go do miejskiej szkoły. Po paru latach Michaś wyszedł na prawdziwego paniczyka i, przyjeżdżając na lato do domu, w dni świąteczne paradował dumnie koło cerkwi. Matka nacieszyć się nie mogła swym Michasiem i tylko tyle było jej pogwarek z sąsiadkami, co o starszym chłopcu.

Młodszy syn, Grzegorz, zupełnie się nie udał: wyraz twarzy miał nieprzyjemny, milczący był, nieposłuszny i, jeszcze jako mały chłopak, niemiły był matce. Ojciec chciał go również posyłać do szkółki, ale tej korzyści, jakiej się spodziewał z nauki syna,—nie było. Grzegorz uczył się, aż nagle coś mu się stało i, gdy jesienią chciano go wyprawić do szkoły, chłopak jechać nie chciał. Nie pomogły ni prośby, ni groźby. Grzegorz postawił na swoim i pozostał w domu. Odtąd między nim a rodzicami wszczęła się nieustająca walka, która doprowadziła do tego, że wszystko co bądź robił nie podobało się ani ojcu, ani matce. Stara Taćciana i obecnie, przesiadując samotnie całymi nocami, nie mogła się pogodzić z młodszym swym synem.

Skończywszy lat szesnaście, Grzegorz zupełnie porzucił ojców i poszedł pracować do jednego z pietrykowskich kowali. Michaś zaś skończył nauki i czekał czas jakiś, wybierając, jakąby tu zająć posadę. Ale wybrać nic nie było mu dane. Nagle wszędzie rozbrzmiało słowo „wojna“ i Michasia wzięto do wojska. Jak dziś widzi Taćciana jasny poranek, gdy z Pietrykowa pociągnął długi sznur młodych chłopców, po obu stronach którego szło i zawodziło niemal ze całe miasteczko.

Minęła zima, zaczęło się lato, a wojna nie ustawała. W Pietrykowie ukazali się kalecy—ten bez ręki, tamten bez nogi. Taćciana myślała o swym Michasiu, widząc go co chwila w myślach swych to zabitego, to kalekę. Ale Michaś na jakiś czas był zabezpieczony: posłano go do szkoły oficerskiej. Umyślnie długo nie pisał ze szkoły, a matka całymi dniami rwała włosy i zawodziła po nim, jak po umarłym. To też straciła przytomność z radości, gdy pewnego razu przyjechał do domu w błyszczących epoletach. Do radości, że jej Michałek żyw i zdrów, dołączyła się jeszcze matczyna duma z syna, który „wyszedł na człowieka“. Nie było w miasteczku nikogo, przed kimby się nie pochwaliła swym synem. Ale wszystko w życiu takie nietrwałe: po tygodniu Michaś znowu pojechał tam gdzie drżała ziemia i gdzie śmierć szeroko machała kosą. Znow poczęła Taćciana codziennie chodzić na pocztę, w oczekiwaniu wieści, znow serce jej zamierało, gdy dawała Bazyłowi list do przeczytania.

— O, bożeż mój, boże! Co mi po liście,—zawodziła żalownie,—może w chwili, gdy my tu czytamy, jego złożono już w ziemi wilgotnej.

Bazyli podtrzymywał ją, ale nie na długo. Tak szły dni, tygodnie, miesiące, lata...

Już i Grzegorza wzięto do wojska. Gdy jego partja wychodziła z miasteczka, nikt już nie lamentował. Wojna stała się

zjawiskiem powszednim, a matkom i żonom zabrakło izez. Była jeszcze jedna różnica: powołani do wojska szli w milczeniu, bez carskich portretów, a niektórzy mówili swoim:

— Nie to! wkrótce do dom wrócimy!

Grzegorz przed wymarszem wpadł do rodziców i zwyczajnie ich pożegnał. Taćciana zapłakała i krzyżem go znaczyć na drogę zaczęła.

— Nie płaczcie, matko, i nie żegnajcie mnie, to ani mnie, ani wam nie pomoże.

— Odszczepieńcem był, odszczepieńcem zostanie,—odezwał się ojciec.

A wojna się zaciągała. Bazyli jakoś odrazu postarzał i nie mógł już pracować. O pracę też coraz trudniej było, handel się zwijał, coraz mniej tratw i berlinek ukazywało się na Prypeci. Dzień po dniu coraz bardziej marniał Bazyli, aż coś koło wniebowzięcia zasnął z wieczora i już nie ocknął się wcale.

Taćciana pozostała sama. Wlekła się długa zima. Chleba już nie było i Taćciana, by się wyżywić, chodziła po sąsiadach. Potym zaczęły się pogłoski, że cara zrzucono, że wkrótce wojna się skończy. Taćciana przestraszyła się—jakże to będzie bez cara, ale sama myśl o tym, że wraz z carem—skończy się wojna, a wtedy wróci Michaś, no i Grzegorz, uciśzała jej niepokój. Ale czas mijał, a wojnie końca nie było. Grzegorz nie dawał znaku życia, Michaś zaś często przysyłał listy, w których coraz bardziej i bardziej skarżył się na żołnierzy, na jakichś „socjalistów“, którzy zupełnie oficerów nie szanują, a nawet biją ich. Dla Taćciany słowo „socjalista“ stało się wrogiem, a ludzi, których tak nazywano, uważała za łajdaków.

Minęło lato, zaczęła się jesień. Końca wojny widać nie było. Taćciana już wcale nie miała za co żyć. Dobrze, że jeden ze starych towarzyszy męża poradził sprzedać dom. Zna-

laził się jakiś amator kupienia go i Taćciana, z paru setkami w kieszeni, przeniosła się do niedużej wioseczki o wiorst pięć od miasteczka, gdzie jej pozwolono zająć pustą chałupę na skraju.

Skoro tylko zaczęły się chłody, gościńcem z Turowa na Pietryków pociągnęło szmat żołnierza od strony, gdzie była wojna. Szczególniej w nocy wszystkie chaty w wiosce szczelnie były niemi zapchane. Z rozmów ich Taćciana zrozumiała, że wojna wkrótce się skończy, że wszyscy rozechodzą się do domu. Serce Taćciany zadrżało z radości: to i Michaś jej będzie w domu. To tego, to owego dopytywała się Taćciana, czy nie znali, nie spotykali oficera Michasia Tałoki.

— Oficera?—A sporo ich, do jasnej cholery było, ale już nie będzie!—odpowiadano jej.

— Jakże to nie będzie?

— A ot i nie będzie! Wszystkich powyrzynać trzeba!

Taćciana zęgnęła się i czuła jak na chwilę serce jej przestawało uderzać.

— Socjaliści,—myślała,—i skąd ich się tyle nabrało.

Trwoga jej z dniem każdym rosła i rosła bez końca.

Ludzie szli, jechali konno, wozami, szli we dnie i w nocy; zdawało się, że tam, za Turowem, nikt już nie pozostał. Taćciana wystawała całymi godzinami i patrzyła na zachód, ale tego kogo chciała ujrzeć—nie było.

Coraz częściej i częściej przychodziło jej na myśl, że go zabili, swoi czy Niemcy—wszystko jedno. Mijał tydzień po tygodniu, myśl o śmierci Michasia stała się rzeczą zwykłą, nadzieje gasły, a razem z niemi zamierało potrochu pragnienie życia. Matka, jakby ogarnięta letargiem, coraz częściej i dłużej nieruchomo siadywała tam, gdzie jej się usiąść zdarzyło.

Fala uchodzących z wojny żołnierzy, przeszła. Kilka dni było tak niezwyčajnie cicho, że strach brał przed tym nagle nadeszłym spokojem. Ale spokój trwał niedługo: znowu za-

dźwięczało na gościńcu, znów pociągnęli wojskowi, tylko już nie kupą bezładną, a równiusieńkami szeregami; odzież ich i cały wygląd był jakiś inny, obcy. Taćciana bez bojaźni, bez zaciekawienia patrzyła na przechodzące szeregi obcych ludzi. Co mogli oni zmienić w jej życiu?—Wszystko skończone: nie ma ani strachu, ani zaciekawienia.

Pewnej nocy do duszy Taćciany zajrzał promyczek na chwilkę, i nieco rozpedził mrok. Coś przed wielkanocą, o północy, nagle zjawił się Grzegorz. Taćciana pamięta jak odrazu spadła jej z oczu zasłona, jak serce znowu poczęło żywiej w piersiach uderzać, jak się jej chciało choćby na Grzegorza wyłać całą czułość, cały impet dawno podeptanych uczuć. Ale i tutaj życie zadrwiło z niej.

— Trzeba robić rewolucję,—powiedział Grzegorz,—ja nie mogę pozostać z tobą.

Co to za rewolucja, dla której matkę można samą porzucić, Taćciana zrozumieć nie mogła. Grzegorz na drugi dzień przepadł o świcie, i Taćciana znowu pozostała sama. Nieoczekiwane zjawienie się Grzegorza zatliło z jednej strony nadzieję, że oto może tak nagle, powróci Michaś, a z drugiej—wywołało oburzenie na Grzegorza za jego szorstkość, za niedbałość jego o nią, o matkę.

Niemcy stali długo, potem przyszli Rosjanie—bolszewicy. Grzegorz zaglądał do matki, ale nawet nie zdejmował skórzaney kurtki i rzemienia z rewolwerem. Potem była wojna, przyszli Polacy, znów wojowano,—tak bez końca...

A Michasia wciąż niema... Nadzieja to się wzmagala, to znów gasła... A Grzegorz sprzedał matkę za rewolucję.

Tliły się karcze na przypiecku, tańczyły po izbie cienie. Tliły się nadzieje—i gasły, a myśli przeskakiwały od wojny do wojny, a krwawa zasłona przesłaniała oczy...

Siedziała Taćciana sama przed swym ogienkiem, przeszłość przesuwała się przed jej oczami, terażniejszość zaś nie obchodziła jej i nie wiedziała Taćciana co się na świecie dzieje.

Na podwórku coś załomotało mocniej, niż to dotychczas czynił wiatr. Taćciana ocknęła się ze swych dumań, wsłuchała się. Ktoś chodził koło chaty, a później rozległ się turkot kół. Turkot wciąż się zbliżał, wreszcie ucichł.

— No, przyjechaliśmy, złaż z wozu,—dał się słyszeć męski głos,—a ty, Chwiedor, wypróż i nakarm konia.

Jednocześnie w sieni rozległo się stąpanie koło drzwi. Drzwi się otwarły i do izby wszedł mężczyzna z kobietą. Taćciana przyglądała się pilnie, ale nie mogła rozpoznać twarzy ani mężczyzny, ani kobiety.

Wchodzący również nie widzieli Taćciany, która siedziała w ciemnościach, gdzie nie sięgał odblask tlejących węgielków.

— Tak tutaj cicho, jakby bandyci przeszli,—odezwała się przybyła kobieta.

— Może matka dokądś wyszła... No, rozbieraj się,—zwrócił się mężczyzna do kobiety, i zaczął odpinać guziki swego krótkiego kożuszka.

— Grzegorz, to ty?

Taćciana rzuciła się do syna, który z nieoczekiwania uskokczył w bok.

— Czekaj, czekaj, matko!—Tu nic nie widać, zapal¹no lampę!

— Jaką tam lampę? Ja nawet ogarka nie mam; ot te smolaki—to całe moje światło.

Taćciana pochyliła się, wzięła kilka smolnych karczy i rzuciła je na węgle. Po chwili płomień buchnął i oświetlił przednią część chaty.

Przyjezdni już się rozebrali i Taćciana, odwróciwszy się od ognia, ujrzała przystojną kobietę czy dziewczynę.

— To moja żona,—wskazał ręką Grzegorz, — na imię ma Olesia.

Taęciana podeszła, przywitała się i nie wiedziała, co dalej robić. Narazie chciała ona okazać w stosunku do syna i synowej jaknajwięcej uczucia i zadowolenia, ale gdzieś w gardle zdławił ją jakiś kłębek, który nie pozwalał jej mówić. Od tak dawna czekała ona choćby odrobiny radości, tak dawno pogrzebała bezpośredniość uczucia, że oszołomiło ją teraz ono, że jakby przygniótł ją ciężar napływających nagle, dawno utraconych przeżyć. Gdzieś jeszcze, w głębi pojmowania i odczuwania poruszyła się skarga na syna, że się ożenił, zszedł z tą obcą kobietą, jest z nią ciągle, podczas gdy ona, jego matka, sama wlecze swe życie, nikomu niepotrzebna, osamotniona.

Kłębek wciąż rósł, nie pozwalał oddychać i Taęciana, choć zaciskała wargi, nie wytrzymała: ciało jej stare zatrzęsło się od ciężkiego płaczu i, osłabiona, osunęła się na ziemię.

Ocknąwszy się, Taęciana przedewszystkim ujrzała pochyloną nad sobą Olesię, która jedną ręką łagodnie gładziła ją po głowie, drugą zaś podsuwała jej do wachania jakąś małą buteleczkę. Taęciana zauważyła w twarzy Olesi taką dobroć, że jej odrazu ulżyło i cała jej niechęć, którą odczuwała do synowej przedtym—nagle pierzchła.

— Cóż to się ze mną stało?—spytała Olesi.

— Wyście, matuchno, osłabli bardzo.

Słowo „matuchno“ w ustach tej hożej kobiety nappełniło serce Taęciany takim ciepłem, że znów nie wytrzymała i łzy polaly się jej z oczu, ale tym razem już dobre łzy, szczęśliwe. Wkrótce obie kobiety, stara i młoda, były już sobie zupełnie blizkie.

Grzegorz tymczasem przeniósł z wozu do chaty węzełki i dwie czy trzy skrzynki i poustawiał je tak, jakby powinny

one były długo pozostać na miejscu. Taćciana raz po raz spoglądała na Grzegorza, mając na ustach pytanie, które bała się wypowiedzieć. Za każdym razem, gdy syn z czymkolwiek wchodził do izby, zwracała się do niego gotowa zapytać, ale jakaś niechęć—i do siebie i do wszystkiego w życiu powstrzymywała ją. Skoro tylko Grzegorz przestał wnosić swoje rzeczy i pozostał w chacie, Olesia zaś wyszła zawołać Chwiedora, który ich przywiózł,—Taćciana bojaźliwie podeszła do syna.

— Grzesiu, nie porzucisz już mnie? Nie poniesiesz głowy swej na tę wojnę?—spytała.

— Wojna, matko, już się skończyła!

— Skończyła się... Prawdaż to?

— Prawda.

Serce Taćciany zamarło. Zamilkła i oczy jej znów stały się przygasłe, nieżyjące. Naszło na nią zwykle osłupienie.

— To Michaś nie żyje, nie żyje! — szeptała,—niema go, nie wróci...

— Co wy, co wy, matuchno?—Może on i żyje, — mówiła, zbliżając się, Olesia.—Mało co bywa w taki czas, gdy świat się przewrócił. Ot, może się tak zdarzyć, że pewnego wieczora Michaś szast w drzwi, jak my dzisiaj. Przestańcie rozpaczać!

Grzegorz z pod oka spojrzął na kobiety, uśmiechnął się do siebie, ale nic nie powiedział.

Olesia zaś uspakajała matkę:

— Wojna już się skończyła i nie będzie jej. Naszym udało się zwyciężyć i panów, i oficerów, i wszystkich cudzoziemców. Teraz już nikt nie posunie się do nas. To i Michaś gdzieś się znajdzie i przyjdzie do domu.

Łagodny głos, kobieca miękkość Olesi wywierały niezwykły wpływ na Taćcianę. Ocknęła się z osłupienia i oczy jej znów ożywiły się. Wieczera nie w samotności, a z synem, choć i mrukliwym, z synową, gawędka—zupełnie ją uspokoiły i, może

po raz pierwszy od lat trzech-czterech, odczuwała ona, że żyje tak, jakim się jej życie marzyło.

Pewnej nocy Taćciana nie zmrużyła oczu ani na chwilę. Kilka razy cichutko, żeby nie obudzić młodych, zlązła z pieca, podchodziła do ławy, na której spał Grzegorz, pochylała się nad jego twarzą i długo wpatrywała się w nią, jakby nie wierząc, że to on właśnie, jej syn. Choć ten, ale przecież żyje i nie kaleka. Myśli jej przeskakiwały do Michasia, ale starała się je od siebie odpędzić, ciesząc się, że nie wszystkie matki mogą mieć to szczęście, jakie jej przypadło. Napatrzywszy się na syna, Taćciana znowu włąziła na piec i zaczynała wyobrażać sobie przyszłość: Olesia będzie mieć dzieci, które ona, Taćciana, niańczyć będzie. Wszyscy oni znowu przeniosą się do miasteczka, a chwalić boga, Grzegorz był dobrym rzemieślnikiem. Michasia niema,—cóż robić? I może Michaś nie chciałby żyć z nią, bądź co bądź miał on pańskie gusty, fanaberje... „Nie, nie! co mi to do głowy przychodzi! Mój Michaś nie porzuciłby mnie, gdyby go nie porwała i nie zmiotła ta zawierucha“. Taćciana powracała niewiadomo po raz który do swych zwykłych myśli i nastroju. Ale obecność żywych ludzi w chacie rozpraszała jej czarną melancholję. Spoglądała w stronę Grzegorza, choć w ciemności nie widziała go. Nagle skądś wymknęła się bojaźliwa myśl, pokręciła się w mózgu i trwogą padła na serce: czy to prawda, że wojna skończona, czy Grześ zostanie w domu? Trwoga wciąż rosła, szerzyła się i nie mieściła się w piersiach Taćciany. Z bólem i niezwykłą męką podeszła do syna i drżącą dłoń przesunęła mu po twarzy.

— Nie porzucaj mnie,—wyjęczała zduszonym szeptem.

— Kto tu?—krzyknął senny Grzegorz i porwał rewolwer, który obok niego leżał na stole.

— To ja, Grześku, nie trwóż się!

— Czemu ty nie śpisz, matko?

— Nie śpi się, synku, różne dumki chodzą po głowie...
Grzešku, powiedz mi prawdę: nie porzucisz ty mnie już?

— A, dobrze, żeś mi przypomniała...

Grzegorz powiódł ręką koło siebie i, znalazwszy zapalki, zapalił światło, żeby spojrzeć na zegarek.

— Oho, już czas!—i szybko zerwał się z pościeli.

— Dokąd ci czas, Grzegorzu?

— Dokąd?—Kończyć rewolucję!

Znów to niezrozumiałe słowo. Tyle tylko o nim wiedziała, że to wojna, strzelanina, śmierć.

— Grzešku, mówiłeś przecież, że wojna skończona?

— Wojna skończona, ale jak po chorobie wybija się na ciele zgnilizna, tak i po tych wszystkich wojnach pozostała jeszcze zgnilizna ludzka, co stara się lud cały chorobą zarazić... Olesiu, wstawaj!

Olesia prędko wstała i poczęła rozniecać ogień na przypiecku. Taćciana zaś stała jak nie swoja, nie rozumiejąc z tego, co jej syn powiedział.

— Grzešku, to cóż ty pójdziesz robić?—spytała wreszcie.

— Ot co matko musicie wiedzieć: wojna skończyła się co prawda, ale nie wszyscy wrogowie z tym się pogodzili. Nie idą teraz oni na nas otwarcie wojną, ale, kryjąc się po lasach, rzucają się na nas zza węgła i zaspakajają swą zemstę, zabijając nie tylko tych, co rewolucję robili, ale i tych, którzy w niej wcale udziału nie brali. Idę wraz z towarzyszami tych to podłych ludzi wyłapywać.

— Toć przecie znowu, to samo, co wojna! Nie idź, Grzesiu, pozostań tu!

— To niemożliwe. Ot, lepiej przygarnijcie Olesię i nie powiadajcie nikomu, że tu był. Jeśli się będą dopytywać o Olesię nie mówcie, że żoną moją jest.

— Dlaczego?

— A dlatego, że ci bandyci załatwiają się przedewszystkim z bolszewikami i rodziną ich.

— Toś ty bolszewik?

— No, przecie! A kimże mam być!

Taściana osłupiała do reszty. Słyszała ona, że bolszewicy gorsi są jeszcze, niż socjaliści. A Michaś... rodzony jego brat—bolszewikiem. Taściana obcemi oczami spoglądała na Grzegorza, bała się go. Skórzana kurtka, rewolwer zwieszający się na rzemieniu u boku—przerażały ją.

Między nią a synem znowu wyrósł mur, który przed kilku godzinamiomal że nie był runął. Znow samo przez się powstało w mózgu Taściany pytanie, które już oddawna starała się rozwiązać: jaka to siła istnieje na świecie, mocniejsza nad związek matki z dziećciem. I znajdowała jedyną odpowiedź w wypaczeniu się ostatnimi czasy wszelkich stosunków między ludźmi. Ot—zezwierzęcieli ludziska.

— Więc pójdziesz, porzucisz mnie, nie uwzględnisz moich łez, długiej mojej męki?

— Pójde, matko!

Grzegorz, już zupełnie gotów do drogi, pożegnał się z żoną i podszedł do matki. Jak nieprzytomna rzuciła mu się w ramiona.

— Grzešku, synaczku, nie idź!—zawodziła dzikim głosem.

W milczeniu zdjął Grzegorz ręce jej ze swych ramion, zawrócił się i wyszedł z chaty.

Matka bez sił osunęła się na ławę, a zmartwiałe jej oczy błąkały się gdzieś bezwiednie. Olesia podeszła, wzięła ją za rękę i powiedziała:

— Nie gniewajcie się, matko, na niego, on powinien był pójść.—Ciężko mu było porzucić was, wszakeć to syn wasz przecie.

— Nie mam ci ja żadnego syna,—zdławionym głosem mówiła Taćciana.—Pierwszego śmierć mi zabrała, a drugi... a drugi...

Nie dopowiedziała i jeszcze niżej pochyliła głowę.

II

Daleko na północ od Turowa, aż do Starobina i na południe hen... do krańców Białorusi, ciągną się lasy Turowskie.

Jak drobne plamki rozrzucone są wśród nich, zdala jedna od drugiej, polany, gdzie człek zamieszkał. Cały zaś obszar, jeśli spojrzeć nań z góry, wygląda jak mocarne ciemno-szafirowe morze, które nieco jaśniejsze jest tam, gdzie las ustępuje miejscem trawiastym błotom. Wysokie świerki i jedle, jak stare dziady, siwym mchem brodate, ponure we dnie, w nocy straszne swą ciemnością, wznoszą się ku górze, przeplatają tam swe gałęzie, nie przepuszczając ku dołowi ani jednego słonecznego promienia.

U stóp ich, by dziatwa, ukrywana przez rodziców, a sama przez się dość sprytna, pełzną ku górze cieniutkie wysmukłe sosenki, płacze się młodziutka osieczyna, stara się ująć kogoś w swe rozpostarte gałązki leszczyna, tuż koło brzoźki siermiężnej wytryska młody, ale drapieżny dąbek.

Cała ta młodź pragnie słońca, skarży się na starych, że w górę pomknęli i zabrali wszystko, pręży się by zabrać sąsiadowi wolne miejsce i tak się splata ze sobą, że niesposób dojrzeć kto i gdzie siedzi.

Trudno przebrnąć ten gąszcz. Tylko małe, wązkie, kręte ścieżyny krzyżują się w tym lesie. Często się zdarza, że taka drożyna utknie raptem w bagnisku, na które nietylko człowiek ale nawet ptak nie stąpi, do takiego stopnia jest ono grzązkie. W innym wypadku od takiej drożyny rozchodzi się kilka takich samych ścieżyn, które tak się kręcą wśród ciemnych ścian

dębów i jodeł, że po całym dniu nużącej wędrówki można się wieczorem znaleźć na tym samym miejscu, z którego ruszyłeś zrana. Nawet wieśniacy, którzy całe życie spędzają wśród tych lasów, nie lubią ich i boją się w nie zbyt głęboko zagłębiać. W cichy pogodny czas, osobliwie jesienią, kiedy nad lasem całymi dniami wisi, gęsta jak bawełna, mgła—czujesz się w tym lesie, jak w zamkniętej trumnie: nic się tu nie rusza, nie słychać najlżejszego dźwięku, o dziesięć kroków nic nie widać. A kiedy zerwie się burza, to cały las napęlnia się stękaniami i jękiem: kudłate sosny przeginają się z boku na bok, stary kostropaty dąb skrzypi, jakby zgrzytał zębami, jodły syczą, brzoza, nie wytrzymując naporu nawałnicy, z żałośliwym «aach» pada na ziemię, niszcząc po drodze ukrytą przed burzą młodź. Wśród tego gwałtu to tu to tam rozlega się ni to płacz, ni to jęk śmiertelny: może to wąż ptaszyna leśna bije skrzydłami w szponach jastrzębia, może zając płacze, żegnając się z życiem w zębach wilka, a może i człowiek człowieka zarzyna.

Straszny to las; i wiele w nim jeszcze takich zakątków, gdzie noga nie stąpiła ludzka. Jest on zato dobrym przytułkiem dla dzikich drapieżców: i wilk, i niedźwiedź, i jastrząb, i sowa, mają tu swoje bezpieczne zakątki. I człowiekowi szeroko otwiera las swe podwoje, jeśli mu miejsca w gromadzie zabraknie: czy kto konia ukradnie, czy kto zabójstwo popełni, czy kto pomstę na kimś chce wyrzucić, czy ograbić kogo—idzie w te lasy, co go ukryją, jak matka dziecinę. Pod ramionami korzeni burzą zwalonego dębu łatwo chałupę znaleźć, wśród bagien—twierdzę nieprzystępną...

Jesień była na świecie. Kilka już dni padał bezustanku deszcz drobny, jak mgła. Dni były szare, mgliste, nie rozpoznać było, gdzie się dzień kończy, a noc zaczyna. Noce zaś tak były ciemne, że o dwa kroki, choć oko wykol, nic nie dojrzysz.

W noc taką, w głębi lasu, na niewielkiej polance, błyskał ogień a dookoła siedziało pięciu ludzi. Niektórzy mieli chłopskie siermięgi, inni szynela żołnierskie, a jeden nosił szary oficerski szynel z błyszczącymi epoletami. Na głowy powciągali worki, oficer zaś miał zawiązany baszłyk. Dookoła walały się fuzje, noże w skórzanych pochwach, torebki z patronami, pusty nieumyty po jedzeniu kocioł, kawały chleba.

Ogień ledwo się palił. Mokre drwa i gałęzie tliły się, dymiły i nawet nie zagrzewały wyciągniętych nad ogniem rąk. Zgóry spadały raz po raz duże krople, które się gromadziły na zwieszających się gałęziach.

— No i pogoda, pal ją licho, — burknął jeden w kożuchu, — człek do reszty rozmięknie, siedząc tu.

— I po kiego diabła my tu siedzimy, — odezwał się drugi. — Wymyślili taktykę wojenną, posterunki tu potrzebne jakies. Ech wy, wojacy, — zwrócił się w stronę oficerskiego szynelu, — wszak w lesie tym bezpieczniej niż w domu za piecem, nie znajdzie tu nikt.

Oficerski szynel odwrócił głowę, usunął opadnięty na oczy baszłyk i powiódł gniewnym wzrokiem po swych towarzyszach.

— Przedewszystkim nie gadać, a po wtóre — tylko głupiec sam się oddaje w ręce wroga, — powiedział stłumionym głosem. — Cóż, podług ciebie wychodzi tak, że zawał się, gdzie cieplej i śpij?

— A pewno, że takbym zrobił. My turowiecką robotą pewno takiego pietra nagnaliśmy wszystkim tym bolszewickim naczelnikom, że teraz nie jakby nas dopędzić, ale jakby samym conajdalej od nas uciec, myślą.

Niewysoki, zwawy człowieczek w żołnierskim szynelu zerwał z głowy worek i zatańczył dookoła ogniska,

— Ech, i daliśmy im też dobrze w Turowie! Ja najwięcej miałem do czynienia z młodziutkami żydówkami... Brało się od niej co należy, a potem sztylecikiem pod skórę... Eech!— I splunął z lubością.

Mała jego twarz z czarnemi wąsikami, garbatym nosem i grubemi ponsowemi wargami, wyciągnęła się cała przy tych wspomnieniach. Nogi jego ustać nie mogły w miejscu, i jak oszalały kręcił się dokoła ogniska.

Milczący dotychczas całkiem jeszcze młody chłopak spojrział na tańczącego człowieka i rzekł, rozstawiając sylaby:

— Kaukascy książęta umieli żyć, czemu nie! W to im tylko graj: kobiety i rozbijanie się, a skoro dojdzie do wojny, to wówczas tylko... ot tak,—i zrobił kombinację z trzech palców.

Garbatonosy w sekundę znalazł się przed chłopcem.

— Ja nie umiem wojować? Ja ci tu pokażę!

W jego ręce mignęła błyszcząca rękojeść szabli, ostry gwizd stali przeciął powietrze. Jednocześnie szabla wypadła mu z ręki i furknęła daleko za ognisko.

— Dosyć, psy! Wam by się tylko gryźć i burdy robić, o tym zaś, że idziemy zwalczać bolszewików, nie myślicie wcale, —huknął na nich głos z oficerskiego szynelu.

— Podług mnie, z kimbądź się walczy, zawsze na pierwszym planie mój osobisty zysk,—zapiszczał garbatonosy, błądy ze złości,—i nie ten błazen będzie mię uczyć jak mam wojować!

— O, panie poruczniku!—rozległ się jeszcze jeden głos, zwrócony do oficera,—podług pana tak się układać winno, że idąc walczyć z bolszewikami, ani palcem ruszyć nie należy ich mienia, ani też tych żydów. W takim razie poszukaj pan sobie innej kompanji!

— Możesz to pójść powiedzieć swemu atamanowi, nie mnie,—odpowiedział oficer.

— Ależ nasz ataman na wszystko pozwala,—ciągnął ten sam głos:—pan tylko pragniesz być świętoszkiem, ideowcem wśród nas. Dużośmy już widzieli tych ideowców i cóż oni warci? To mokre ścierki, które bolszewicy wyżmą i za drzwi wyrzucą.— Oto czym wy jesteście!

— Jak śmiesz tak się o mnie wyrażać! Jam oficer, nie pozwolę w ten sposób zwracać się do siebie!—krzyknął zape-
rzony porucznik.

— Oficer! oficer! — Wielkie rzeczy, pomyślcie! — Miałem więcej czerwieńców, niż ty obecnie polskich marek w kieszeni. Cóż ty myślisz, że ja się będę pieścił z całym tym szubraw-
stwem po tym, jak mi odebrano ziemię i majątek spalono? Nie, tu nie tylko bolszewicy—tu zawiniło całe to bydło. Pom-
sta im!

Od ogniska powstał rosły mężczyzna w prostej odzieży wieśniaczej, ale z oblicza całkiem do włościanina niepodobny. Zbliżył się do garbatonosego, wziął go za rękę, potrząsnął nią i zawołał:

— My, książę, nikogo nie pożałujem. Bolszewik, jego żona, matka, czart—czy djabeł, wszyscy jednacy, wszystkich na osinę.

Oficer umilkł i odwrócił się od ognia. Towarzysze jego przeszli do wspomnień o swych czynach po wsiach i miastecz-
kach, w których im się udało pogospodarzyć. — Zastrzeliłem, zarznąłem, powiesiłem—rozlegało się raz po raz dokoła. Młody chłopak, który zadarł był z księciem, nie brał udziału w tych przechwałkach i stroskanemi oczyma śledził pełgające płomyki. Wyglądał on między temi wszystkimi jak człek obcy, co się z niemi spotkał przypadkowo. Zdarza się, że wśród łopianu i ostu, wzrosnie wątył dzwonek liljowy i wraz z niemi podlega pogardzie, lecz jednocześnie cierpi od dotknięcia ostrych kol-
ców. Tak czuł się ten chłopak wśród tej gromadki. Jedyne

porucznika, jak nazywano oficera, uważał on za człowieka, wszyscy inni byli dlań wstrętni.

Człowiek w oficerskim szynelu odszedł od ogniska i szybko zniknął w mroku nocy i lasu. Zagłębiwszy się nieco w las, wsparł się o drzewo i całkowicie puścił wodze myślom. Podobne sprzeczki jak ta, która była dopiero co, i w której on sam brał udział, tak mu się sprzykrzyły, że słuchanie ich stawało się dlań coraz bardziej nieznośne. Ta szajka ludzi, pozbieranych z różnych krańców świata, którą jednoczyła tylko chęć zemsty za osobiste straty dzięki rewolucji, w chwili obecnej nie miała innych dążeń, prócz zburzenia wszystkiego co do rąk im trafi, i co się znajduje pod władzą tych znielowidzonych bolszewików. Podpalane wioski płonęły, w miasteczkach nie ustawały jęki katowanych, nie ustawało znęcanie się nad bogu ducha winnymi ludźmi.

Kraj się rujnował, ludzie porzucali wszelką pracę zarobkową, oczekując co nocy napadów szajki. Sam on, ten oficer, długo walczył przeciwko bolszewikom: był w wojsku Judenicza, był z polakami, ale w jego pojęciu była to wojna z bolszewikami jako z jednostką zorganizowaną. „Wojna ma swe prawa”—myślał. „Teraz zaś, gdy się wojna skończyła, wszyscy ci ludzie, co już nic do stracenia nie mieli, którym pomsta jedynie została, zamiast wojny, zajęli się najohydniejszym rozbojem, podtrzymywani w dodatku cudzemi pieniędzmi“.

Przerwał rozmyślenia. Dał się słyszeć chrzęst chróstu—ktoś szedł ku niemu.

— Panie poruczniku, panie Tałoka! Gdzie pan jest?—rozległo się ledwo dosłyszalne wołanie.

— Kto tam?—

— To ja, panie Tałoka,—zbliżając się do oficera mówił młody chłopak,—oni zaczęli tam pleść takie głupstwa, że clikowo było słuchać.

— No, kiedy ci ekliwo z nami, to możesz iść dokąd chcesz,
—ostro odpowiedział oficer.

— Nie gniewajcie się na mnie, panie poruczniku! Mnie się zdaje, że pan mówi nie to, co myśli.

— A cóżeś ty, w myśli moje zagładał? Milczałbyś i nie wtrącałbyś się ze swemi radami i domysłami.

— Ach, jak cięży to wszystko! Nawet pan, panie Tałoko, nie chce mi słowa dobrego rzec, a ja uważałem pana za coś lepszego, niż ci wszyscy.

— Któżto „ci wszyscy“?—i Michał Tałoka groźnie posunął się ku chłopcu.

Ale ten miał taki godny pożałowania wygląd, że Michał odsunął się od niego i odrazu zmięknął w obejściu.

— Czegóż ty chcesz ode mnie?—spytał.

— Sam ja nie wiem, czego chcę. Ot dopiero co powiedział mi pan, żebym od was uciekał, jeśli mi się u atamana nie spodoba. Uciekłbym, ale dokądże pójdę? Tu nawet niedaleko i dom mój koło Skorodnej, tam mieszkają rodzice, cała rodzina. Wróciłbym do dom, ale jakże się tam pokazać mam? Każdy wie, że z polakami uciekłem, wielu z mieszczan w Turowie poznało mnie, i teraz już cały powiat wie, że m bałachowczyk. Niema miejsca, niema gdzie iść, a ostawać się z wami niesposób. A, cóżem ja narobił, do czego doszedłem!

W głosie chłopaka drżały łzy. Michał nie mógł już dłużej wytrzymać w roli naczelnika. Żal mu się zrobiło tego chłopczyzny, co niewiedzieć kiedy i jak przyłączył się do ich szajki. Wspomnienia chłopca o rodzinie, rodzicach, wywołały nowe wzruszenie w nim samym. Nagle napłynęły myśli, że toć i on przecie ma tu niedaleko matkę, brata, o których już dawno przestał myśleć, zawsze zajęty kłopotami swego krwawego życia. Później znów myśli jego zwróciły się ku tym sprawom, którym służył on obecnie. Ziemia na której stoi, toć jego ziemia

rodzinna, ale on jest jej wrogiem, który przyszedł natrzasać się ze wszystkiego, co żyje. Czyż sam on, czy ten wiejski chłopczyna—to wrogi kraju ojczystego, czyż powinni oni iść wspólnie z temi książątkami, pankami i znęcać się nad swemi rodzicami? Prawda, skrzywdzono go niegdyś, błyszczące epolety zerwano, nawymyślano mu szpetnie, czyż za to trzeba iść palić wioski, rznąć i zabijać bezbronych ludzi?—Nie.—On jak ten chłopiec ciężko się pomylił, tak bardzo ciężko, że naprawić to już trudno. Porzucić atamana i zdać się na łaskę i niełaskę bolszewików w uznaniu swych win? Kto ich wie, jak go tam przyjmą. Powiadają, że nie mają oni litości.

Michał pochylił głowę i długo myśli jego przeskakiwały z przedmiotu na przedmiot, nie zatrzymując się dłużej na niczym.

— Niech mi pan poradzi, poratuje!

Michał zapomniał że obok stał chłopak. Podniósł głowę i z ogromnym znużeniem powiedział:

— Poratować, poradzić!.. A któż mnie poradzi jak mam postąpić.

— Czyżby i wam ciężko było w tej kompanji?—z zaciekawieniem i pewną dozą radości spytał chłopak.

Michał odpowiedział nieodrązu. Mózg jego pałał. Zrobiło mu się gorąco, chociaż woda, spływając gałązkami sosny, kapła mu za kołnierz i ciekła dalej zimnym pasemkiem po nagim ciele.

— Ciężko!—odparł wreszcie ledwie dosłyszalnym głosem.

W głosie tym chłopak odczuł tak beznadziejny smutek, że aż się zachnął. Michał mówił dalej, ledwo dobywając głosu.

— Ciężko... Po całej tej męce, po całych latach martwoty śmierci, którą codziennie stawała przed oczami, potem, jak cała dusza złamana, w proch starta, a młodość pogrzebana głęboko pod ziemią—po tym wszystkim znaleźć się w głębi lasu jak bezdomny złodziej! Ciężko to...

Chłopak zbliżył się do Michała i dotknął go ręką. Michał tak był zajęty własnymi myślami, że nie tylko nie zauważył współczucia chłopaka, ale zapomniał nawet o jego istnieniu. Zdawało mu się, że jest sam w tym nieznanym lesie, że każde drzewo—to ręce śmierci, co się wyciągają ku niemu, chwytają go, zarzucają mu na szyję drutowany sznur. Dotknął ręką szyi, była całkiem mokra.

— Panie Tałoka, wołają tam pana!—tracił go chłopak.

Michał przyszedł do siebie i skierował się ku swym towarzyszom. Już nikt nie siedział koło ogniska, wszyscy stali i sprzeczali się gorąco. Skoro tylko Michał się zbliżył, spory umilkły, i książę zwrócił się do niego:

— Nie zgadzamy się dłużej tu siedzieć i moknąć na deszczu niewiadomo po co. Pójdziemy do atamana żądać, żeby nas wiódł na czynną robotę, nie kwasił zaś w tych zaprzepaszczonych lasach.

— Pan, książę, byłeś również oficerem i znasz dyscyplinę wojskową. Porzucić posterunek i w dodatku jeszcze występować z żądaniami do władz nie pozwala żaden statut wojskowy,— odpowiedział Michał.

— Statut wojskowy, dyscyplina,—drwiąco zawołał były magnat.—Do licha z nimi!—My ochotnicza drużyna, i jeśli sprawy idą nam nie na rękę, to po kiego djabła nam ataman, porucznicy!

Podczas ostatnich słów Michał zmarszczył się gniewnie, ale nic nie powiedział. Żądanie jego kolegów nie dogadzało mu z dwóch względów. Przedewszystkim nie chciało mu się rozpocząć działań, których celem było dalsze rujnowanie kraju, a następnie, głęboko w nim jeszcze tkwiła musztra wojskowa i dyscyplina, która mu nie pozwalała naruszyć rozkazu i porzucić miejsce posterunku, którym sam dowodził.

Ale na powstrzymanie tej bandy Michał nie posiadał środków. Powiódł tylko wzrokiem po swych towarzyszach i rzekł:

— Dobrze więc! Pójdziemy do atamana, ale już wy sami przedłożcie mu swe żądania.

— O, my już słów nie będziemy dobierać i nie zmusimy pana porucznika do naruszenia jego dyscypliny. Myśmy ludzie szlachetni,—odpowiedział magnat.

Ognisko osamotniało. Cała szajka wprost od ognia znalazła się nagle w takim mroku, że choć oko wykol. Michał szedł z tyłu i często natykał się na plecy idącego przed nim. Obszarnik i książę, bez względu na swą wojowniczość, nie byli jednak dzielnymi wojakami. Szli oni naprzód raz wraz się zatrzymując, gubiąc drogę i tracąc kierunek. Wreszcie stanęli, nie wiedząc dokąd się udać. Zatrzymali się wszyscy.

— Panie Tałoka! Panie poruczniku!—począł wołać książę,— prowadź nas, wszak jesteś pan naszym dowódcą.

— Nie chcecie mieć i nie macie dowódcy, pocóż on wam. Eh, wojownicy!—nie wytrzymał chłopak.

— Milczałbyś, błaznie!—ofuknął chłopca obszarnik.

Michał bez słowa skręcił w bok. Wszyscy posunęli się za nim i, po godzinie uciążliwej drogi po bagnach, skakania przez karczce i pnie po kępkach, wyszli wszyscy na polanę, gdzie biła luna z oświetlonych okien trzech czy czterech chat chutoru. Cała polana zastawiona była wozami i końmi, że ledwo można było się przepchać, nie znając planu tego taboru.

Towarzysze Michała Tałoki precisnęli się ku środkowej chacie, większej od innych, i której okna jarzyły się od światła. Michał zaś pozostał z chłopakiem koło jakiegoś wozu: nie chciał on pokazywać się atamanowi. Chłopak, znalazwszy się wśród gromady ludzkiej, i odczuwając w sobie tę siłę, która ogarnia człowieka w gromadzie, sam przed sobą zawstydził się tych myśli, które wypowiedział porucznikowi tam, w lesie. Trwożliwie spoglądał on na Michała w obawie, żeby oficer nie powtórzył ich rozmowy atamanowi. Złapawszy chwilę, gdy koło

leń wozu nie było nikogo, chłopiec nachylił się do Michała i szepnął mu w same ucho:

— Panie poruczniku! zróbcie mi łaskę, nie mówcie nikomu o naszej rozmowie w lesie.

— Nie trwóż się! Nikt o tym wiedzieć nie będzie; a teraz powiedz, czy cię już te dumki odbiegły?—spytał Michał.

— Sam nie wiem,—odparł zmieszany chłopiec.

— To słuszne, żeś jeszcze błazen, Kostku! W twojej głowie, jakto u każdego młodego, wiatr jeszcze hula: dopiero co jedno mówiłeś, a tu zaraz masz, zdaje mi się, ochotę zupełnie co innego mówić.

— Wybaczcie mi, jeśli coś nie tak wam rzekł. Boję się ja tego taboru, zgina mnie strach przed atamanem i dreszcz mna wstrząsa na myśl, że może się on dowiedzieć o moim nastroju.

— Powiedz-no, miałbyś odwagę stąd drapnąć?—pytał chłopaka Michał, ostro patrząc mu w oczy.

Kostek długo i podejrzliwie ze strachem rozglądał się dokoła, aż wreszcie ledwo dosłyszalnie szepnął:

— Jeśli by z wami do spółki, tom gotów. A z ganku wołał ktoś głosem donośnym:

— Poruczniku! panie Tałoka! Do atamana! Gdzieżeś się pan zaprzepaścił?

— No, patrzże, ni słowa nikomu i czekaj mnie tu,—szep-tem rzucił Michał chłopcu.—Idę!—głośno już zawołał w stronę ganku.

Michał wszedł do sieni i długo szukał klamki drzwi wejściowych. Nie można powiedzieć, że się bał atamana, ale zawsze jakieś dziwne uczucie paraliżowało jego stanowczość, skoro tylko miał się z nim spotkać. Czy to była niesformułowana wrogość dwóch różniących się co do swej przeszłości ludzi, czy

też negatywny stosunek Michała do tych ciężkich i brudnych spraw rozboju, jakich duszą był ataman. Michał nie starał się sobie odpowiedzieć na to zagadnienie, ale i tym razem ręka jego bezwolnie szukała klamki w drzwiach dłużej, niż tego wymagała konieczność.

Koło stołu, pod obrazami świętych, siedziało ze sześć czy siedem osób, a wśród nich—podwładni Michała: obszarnik i książe. Wszyscy spojrzeli ku drzwiom, skoro tylko Michał przestąpił próg chaty. Michał salutował i pozostał na środku izby, jakby w oczekiwaniu rozkazów atamana. Ten zaś, z epoletami pułkownika, z rękami zdobnemi w różne drogocenne pierścienie, o chłodnym, spojrzeniu szarych oczu—zajmował poczesny kąć pod obrazami. Twarz jego o zaciśniętych ustach, cienkim, zlekka garbatym nosie, golonym, wystającym naprzód podbródkiem—wyglądała drapieźnie, jak głowa jastrzębia. Zatrzymał wzrok na wchodzącym Michale i mierzył go od stóp do głowy.

— Gdzież jest pański posterunek, panie poruczniku?—spytał, nasyciwszy się oględzinami Tałoki.

— Przed panem jest, atamanie!—wskazał ręką na obszarnika i księcia porucznik.

— Widzę, proszę nie pokazywać!

Michał zauważył, jak obszarnik z księciem wymienili spojrzenia i po twarzy ich przeleciał uśmiezek zadowolenia.

— Nie wiesz pan co dyscyplina, i nie dziwnego,—ciągnął ataman,—sam pan współczujesz jej naruszeniu, mając myśli zupełnie niezgodne z naszymi, co do naszych postępków.

— Racz wybaczyć, atamanie, skąd pan zna moje myśli?

— A tym oto, cóżeś pan mówił? Spytaj ich pan!

Michał spojrział na księcia. Ten wzgardliwie-drwiąco patrzył na Michała, jakby się ciesząc jego smutkiem. Michałowi coś ostrego szarpnęło się w sercu i widocznie odbiło się w oczach,

bo książę jakoś nagle się odwrócił i stracił całą swą buńczuczność.

— Czekam rozkazów, atamanie, zdławionym głosem odezwał się Tałoka,—chcę wiedzieć pocoś mnie pan wezwał. Natrzęsać się zaś i kpić z siebie... ja... nie pozwalałam.

Pułkownik aż podskoczył na ławie, ale zapanował nad sobą. Mineła chwila milczenia.

— Siadajże pan, czegoż pan stoi,—rozległ się miękko ekliwy głos, jakby innego człowieka. Zawolałem pana po to, by się naradzić, w jaki sposób najlepiej rozprawić się z Pietrykowem. Pan, zdaje mi się, znasz dobrze tutejszą okolicę i od pana przeważnie zależy szybkość naszego napadu na to miasteczko.

Michał przy tych słowach uczuł, jak go coś ostrego tknęło w pierś. W sekundę wiele przemknęło przez mózg: matka, ojciec, znajomi, lata jego dziecięce, i ten los—który oczekiwał miasteczko. Michał stał w miejscu i jakiś czas nie widział ni atamana, ni jego szajki.

— No, więc jakże?

Michał odzyskał przytomność.

— Tak, tak. Miejscowość ta jest mi dobrze znana,—odpowiedział, jak przez sen,—ale cóż mam przedewszystkim zrobić?

— Trzeba się dowiedzieć, czy jest tam teraz tak zwane wojsko czerwone i rozrzucić nasze wezwanie do ludności.

— Więc dobrze. Proszę mi tylko dać do pomocy Kostka Korytkę.

— Bierz pan, kogo zechcesz, byle nie więcej ponad czterech ludzi.

— Nie, nas dwóch wystarczy,—odpowiedział Michał,—to niewielka sprawa.

Michał pożegnał wszystkich i wojskowym krokiem wyszedł za drzwi.

III

Dla Taćciany i Olesi zaczęły się dni pełne niepokoju i smutku. Już dziesięć dni minęło, o Grzegorzu żadnej wieści nie było, jakby pod ziemię się zapadł. Olesia z początku postępowała tak, by nie okazać matce, że jest stroskana i zaniepokojona losem Grzegorza, ale długo tak udawać nie potrafiła—była przecież zwykłą kobietą.

Coraz częściej i częściej w twarzy jej zaczął się odbijać niepokój, zamyślenie i wreszcie trwoga. Znalazszy się w głuchym zakątku, zmuszona siedzieć w czterech ścianach chaty, żeby uniknąć niepotrzebnej gawędy o sobie w wiosce, męczyła się bezczynnością i oddawała się swym uczuciom i dumkom.

Taęciana zaś, spotkawszy żywego człowieka, jakim była Olesia, oraz pod wpływem groźby, jaka zawisała nad jej młodszym synem, odczuła nowy popęd do życia. Niedawne jej znieczulenie minęło i Taęciana co dzień, co godzina żyła coraz to innym uczuciem—to radosnym, pełnym nadziei, to niespokojnym, zmieszonym z trwogą i niepokojem. Nazajutrz po opuszczeniu wsi przez Grzegorza, Taęciana znowu blizka była znieczulenia, ale obecność Olesi uratowała ją, a w miarę tego, jak zwiększał się smutek Olesi, matka znajdowała w sobie coraz więcej sił; ona to właśnie pocieszała i ożywiała Olesię. Jednego tylko nie mogła pojąć: z kim to teraz i o co idzie wojna. Wszyscy we wsi mówią, że wojna dawno skończona, a tu Grzegorz znowu poszedł wojować i w dodatku niewiadomo z kim. Zagadnienie to starała się jakiś czas po odejściu Grzegorza rozwiązać samoistnie, przypominając sobie słowa Grzegorza o jakichś bandytach, ale kto są ci bandyci, czego chcą, o co z nimi walczą bolszewicy, Taęciana nie rozumiała. Im mniej to rozumiała, tym mocniej zażalona była na syna, który porzucił i ją i żonę i poszedł precz.

— Oleńko,—spytała raz jakoś synowej,—czy nie wiesz ty, co to za bandyci, z którymi Grzegorz wojować poszedł?

— Czyżbyście wy, matko, nie wiedzieli tego? Ależ to wie u nas we wsi chyba każde maleńkie dziecko!

— A skądbym wiedziała? Już ile to czasu jak nie słyszę ludzkiego słowa: w miasteczku nie bywam, ci nasi wieśniacy sami nic nie wiedzą.

— Bandyci, to wprost rozbójnicy, jakich teraz namnożyło się sporo. Skoro tylko wojna się skończyła i panowie zrozumieli, że nie mogą w wojnie zwyciężyć bolszewików, urządzili się oni w ten sposób, matuchno, że całymi kupami, kryjąc się po lasach, nagle napadają na wioski, sioła, miasteczka i rabują je, zabijają ludzi, przedewszystkim bolszewików i tych, kto im sprzyja. Ci oto rozbójnicy—to bandyci.

— Panie jezu chryste! Pocóż oni to robią?

— O, wiedzą oni dobrze, poco? Żeby wyrzucić zemstę za utraczone bogactwo, za majątki odebrane im przez lud pracujący, żeby znów wrócić do panowania i rządów, które utracili i których odzyskać zapomocą wojny nie mogą.

Taćcianie nagle wszystko się rozjaśniło. Teraz zrozumiała ona, że Grzegorz poszedł walczyć za sprawę ludu pracującego, zrozumiała również, kto to są bolszewicy i zamiast poprzedniego wrogiego nastroju w stosunku do nich, zaczęła ich żałować.

Olesia zaś mówiła dalej:

— Otóż i Grzegorz był przewodniczącym w gminie, troszczył się o wszystko, nie miał spokoju ni w dzień ni w nocy, ciągle się starał należycie uporządkować życie w gminie, a tu—masz tobie!.. napadli raz w nocy, ledwo z życiem uszli.

Umilkła Olesia i oddała się rozmyśleniom i trosce o Grzegorza. Sama nie mogła również czuć się bezpieczna. Bandyci teraz snują się po całym rejonie, mają związek z szlachtą, która dobrze wie i może się dowiedzieć, gdzie kto mieszka.

Mieszkać u starej Taćciany tak, by się nikt w wiosce o tym nie dowiedział, było niemożliwe. Jedyne, co mogło dopomóc— to puścić bajkę, że ona—jakaś daleka krewniczka Taćciany.

— Matuchno, wiecie o co chcę was poprosić,—zaczęła Olesia,—nie mówcie nikomu żem ja żona Grzegorza.

Taęciana ze zdziwieniem spojrzała na Olesię.

— Dlaczegoż o to prosisz? Czyżbyś się wstydziła być jego żoną, czy innego co?—Jeśli tak, to... Taęciana nie dokończyła i odwróciła się od Olesi, obrażona na nią za syna.

— Nie, nie wstyd mi, chociaż ludzie uważają jeszcze ślub bez cerkwi za hańbę. Nie o to chodzi i nie gniewajcie się na mnie, matko. Proszę was o to dlatego, że gdy się o mnie dowiedzą, jako o żonie Grzegorza, to poczną się o wszystko rozpytywać, a to może bardzo zaszkodzić i Grzegorzowi, i wam, i mnie.

Taęciana zrozumiała, o co chodzi, i obraza jej znikła. Ale cała ta rozmowa, wszystko, o czym się od Olesi dowiedziała, wywołało przewrót w jej duszy. Taęciana nie uspokoila się co do Grzegorza, ale jeszcze większy lęk o niego zakradł się w jej serce. Jednocześnie do tego smutku dołączyła się teraz wielka nienawiść do tych „bandytów“. Czego chcą oni? Odebrać ziemię od włościan, jak powiada Olesia. Ale przecież jeśli oni w wojnie nie zwyciężyli bolszewików, to — rozbojem niczego się nie dobiją. Pocóż więc ta krew, te zabójstwa? Taęciana odrazu przerzucała się myślą do Grzegorza i straszne obrazy przesuwaly się przed jej oczami. Ale starała się nie poddawać się im. Pamiętała, że tu w chacie jest Olesia, która potrzebuje podtrzymania, pociechy. I Taęciana zabierała się do jakiejś roboty: cerowała pończochę lub meła w żarnach zboże.

— Olesiu, pomóż mi worek wnieść.

Olesia na jakiś czas zapomniiała o swej niedoli, o niepokoju i trosce. Matka widziiała to i starała się wynaleźć dla niej

jeszcze jakąkolwiek pracę. Ale trwoga nie na długo porzucała Olesię. Nazajutrz nie wytrzymała i poprosiła zrana Taćcianę pójść do miasteczka, by tam u przewodniczącego rewkomu dowiedzieć się choć coś niecoś o Grzegorzcu.

I Taćciana również chciała pójść do miasteczka, ale do kogoby się tam zwrócić, nie wiedziała. Teraz zaś, dowiedziawszy się od synowej do kogo pójść trzeba, ubrała się i śpiesznie wyszła z chaty.

Dawno już nie była ona w miasteczku, choć wioska ich nie była odeń odległa. Taćciana nieodrazu znalazła swój dawny dom, bo dokoła niego były puste place po spalonych domach sąsiednich. Wszedłszy do domu, zatrzymała się w sieni, nie wiedząc, czy tu trafiła, bo na jej spotkanie wyszła kobieta, której Taćciana nie znała i nie widziała w Pietrykowie.

— Kogo szukacie?—spytała Taćcianę.

— Powiedzcie, z łaski swojej, czy tu mieszkają Kocubowie?

— Tutaj, tu—przechodźcie tam, do alkierza.

Kocubowie, którzy kupili dom Taćciany, korzystali teraz tylko z jednego pokoiku, bo zajmować i utrzymywać cały dom nie było możliwości.

Taćciana przecisnęła się przez całe kupy jakichś rupieci, zwalonych w pierwszym pokoju, do pokoiku Kocubów. Stara Kocubowa, jej dawna przyjaciółka, powitała ją jak nieboszyczka z tamtego świata.

— Taćcianko, rodzonaś ty moja! Skąd cię bóg prowadzi? Gdzieżeś była cały ten czas?

— Nie pytaj nawet! Ginę, jak groch przy drodze, i nijak się nie doczekam śmierci: tyle mi tylko pozostało, że śmierci czekać, ale nie przychodzi.

Kobiety usiadły. Taćcianę, milczącą całymi tygodniami i miesiącami, przy spotkaniu się z dawną znajomą, ogarnęła gadat-

liwość. Może obrazy przeszłości obudziły się w jej starej głowie, skoro zobaczyła miasteczko, swoją chatę i tak dawno znaną kobietę. Może te obrazy tak zawładnęły duszą Taściany, że na czas jakiś usunęły od niej te uczucia, jakimi żyła ona w czasach ostatnich i dały jej możność jakby z innego świata spojrzeć na siebie i na swe terażniejsze życie. Może to był zwykły przejaw natury ludzkiej, którą nuży jednostajność wrażeń i która we wszelkich warunkach życia dąży do czegoś nowego, niezwykłego.

Taściana długi czas była pod wrażeniem obrazów przeszłości, która jej się rzucała w oczy ze wszystkich zakątków pokoiku. Tak, tak... tutaj chował się jej Michaś, tu były jego książki, tam oto wiesział on swe ubranie... Serce Taściany zatrzepotało, jak ptak w siłkach.

— Niema mego Michasia,—ledwo zdołała wycisnąć z siebie Taściana i łzy wielkie jak groch, spłynęły po jej ziemistych policzkach.

Dawno już nie płakała Taściana,—i czy to z nieprzyzwyczajenia, czy dlatego, że tak długo nie widziała ludzi, zawstydzila się ona łez swych i odwróciła się do kącika, kryjąc twarz od przyjaciółki. Po chwili zapanowała nad sobą i nieśmiało zwróciła się do dawnej sąsiadki.

— Wybacz mi, Teodoro, zem się tu omal nie rozbeczała; —każdy ma własne smutki i patrzeć jeszcze i na cudze łzy—nie nazbyt przyjemnie.

— Co ty, Taścianko! Takeśmy się na wszystko napatrzyli podczas tej wojny, tak nacierpieliśmy się, że gdzieżby się wypłakać jeśli nie u swoich ludzi.

— Ach, Teodoro, dawno już wypłakałam wszystkie swe łzy; serce już tak przebolało, że nie czuje człek jest ono czy go niema w piersi. W tej oto chwili jedynie, gdy sobie przypomniałam Michasia jeszcze jako chłopczyka, jak to on wie-

czorem, tam oto, koło stołu siadywał nad swemi książkami w białej bluzie z błyszczącą sprzączką na rzemyku, sama nie wiem skąd mi się jeszcze wzięły te łyżki.

— Dowiedziałaś się czegokolwiek o Michasiu?

— Nie, żadnych wieści, żadnych pogłosek oto już trzy lata od chwili gdy się skończył niemiecki front.

— Więc czegoż ty rozpaczasz? Może on żyje i zdrów i nie dziś to jutro będzie w domu. Niemają teraz ludzi tuła się po świecie po takim wtrząśnieniu. Przestań ty się zamartwiać.

Stara Kocubowa poczęła wyliczać, jak na palcach, tych wszystkich chłopców, co w ostatnich czasach wrócili do domu, podczas gdy ich już uważano za przepadłych: ten, zamiast do domu trafił na Syberję, ów znowuż błąkał się podczas wojny gdzieś na północy. Może i Michaś gdzieś tam wojuje, bo wojna choć skończyła się, ale niezupełnie.

Taęciana słuchała przemowy sąsiadki i nowe nadzieje powstawały w jej sercu i głowie. Przypominała sobie ile to już razy w niej samej odradzały się nadzieje na powrót Michasia, ile razy oszukiwała sama siebie, ile razy musiała przetrwać całą gorycz tych niespełnionych nadziei. Teraz starała się nie poddać się znowu słodyczy może nowego samooszukiwania się, ale mimowolna radość owładała nią, budziła jej fantazję. Z utęsknieniem czekała ona wciąż nowego i nowego podtrzymania swych nadziei, tak nagle wskrzeszonych słowami sąsiadki. Zdawało jej się, że każde słowo Teodory jest podporą, wiąza- deł tego olbrzymiego gmachu, gmachu promiennego szczęścia, jakim marzyło się jej życie wraz powrotu Michasia. Taęciana tak całą pełnią oddała się w myśli odbudowie tego szczęścia, do takiego stopnia dała wodze swej fantazji, powstrzymywanej tak długo, że nawet zapomniła o tym, poci przysła do miasteczka.

— No, więc się nie smuć, Taęciano,—mówiła Teodora,— twój Michaś wróci, przeniesiesz się znow do miasteczka

wszystko będzie dobrze. A gdzież jest twój drugi syn, jakże mu to... Grzegorz, zdaje mi się?

Taściana odrazu znalazła się na przeciwległym końcu tej drabiny, po której wdrapywała się na wierzchołek tego gmachu, który tak wysoko budowała jej fantazja. Przypomniała sobie czego szuka w miasteczku i, nie odpowiadając nawet na pytanie Teodory, sama się do niej zwróciła:

— Powiedz-n o mi, Teodoro, kto tu jest władzą? Synowa prosiła mnie wstąpić do jakiegoś przewodniczącego, ale co to za przewodniczący—zapomniałam.

— Może do przewodniczącego rewkomu?

— To, to właśnie. Tak.

Taściana pośpiesznie wstała, zabierając się do odejścia. Teodora ze zdziwieniem spoglądała na nią, a potem spytała:

— Cóż to za sprawy masz do tego rewkomu i skąd ci się raptem wzięła synowa?

— Synowa moja wiadomo kto—żona Grzegorza, a do przewodniczącego mi trza, żeby się dowiedzieć coś niecoś o samym Grzegorzu.

Taściana wtajemniczyła swą przyjaciółkę we wszystko, co sama wiedziała o Grzegorzu, nie pominawszy tego, że jest on komunistą i był przewodniczącym w gminie. To ostatnie podkreśliła ona bardzo wyraźnie, jakby chciała przez to zaznaczyć, że nawet ten jej syn, którego uważała była za nicponia, i ten zajmuje tak znaczną posadę. Ale przyjaciółki Taściany ani odrobinę nie rozczuliła powaga Grzegorza. Przeciwnie, jakoś krzywo spojrziała ona na swego gościa, cała życzliwość odrazu znikła z jej twarzy, oczy patrzyły w ziemię.

— To tak!—po długim milczeniu odezwała się Teodora.— Syn Bazyla Tałoki do bezbożników przystał. I ty, Taściano, nie wyrzekłaś się tego syna, a nawet chodzisz rozpytywać o niego i o jego żonę się troszczysz?

— A czemuż nie mam się troszczyć? Nie rozumiem ciebie, Teodoro.

— Nie rozumiesz—to i nie trzeba. Wybacz, ale więcej spotykać się nie będziemy.

Dłużej czekać nie było. Taćciana zawróciła ku drzwiom.

— Wyrzeknij się swego Grzegorza,—poradziła jej na drogę Teodora.

— To nie twoja rzecz,—odpowiedziała Taćciana i wyszła z pokoiku, nawet nie spojrzawszy na dawną przyjaciółkę.

Wyszedszy z domu Taćciana długo nie mogła pojąć, jak to mogło przyjść Teodorze do głowy dawać jej takie rady i czemu Teodora tak nienawidzi bolszewików. Wyrzec się syna... Ciekawe, jakby to sama Teodora wyrzekła się na jej miejscu i co matce do tego jaką drogę obiera sobie syn! Byleby żyw pozostał, byleby ta zawierucha nie zmeła go, jak w młynie. Taćcianie było nieprzyjemnie, że tak się zdarzyło z Teodora, z którą mogła ona spędzić kilka chwil szczęśliwych, ale po tym, co zaszło, niewarto żałować znajomości z nią.

Taćciana dowiedziała się, że rewkom mieści się w lokalu byłego zarządu gminy, i poszła tam. Przy wejściu jakiś chłopiec, uzbrojony od stóp do głowy, długo ją rozpytywał, czego potrzebuje. Przewodniczący o bladej twarzy i oczach czerwonych od bezsenności wysłuchał ją i powiedział:

— Syn wasz żyw i zdrow, nie złego mu się dotychczas nie przytrafiło. Gdzie zaś on jest—powiedzieć wam nie możemy.

— Ależ ja matka jego, czemuż mi nie wolno wszystkiego wiedzieć o synu?

— Powiedziałem wam już, że jest zdrow, czegoż wam więcej trzeba?

— Chciałabym zobaczyć się z nim.

— Być może, że go ujrzycie prędzej, niż przypuszczacie, a czy będziecie wiedzieć gdzie on, czy nie—to przecież nie robi różnicy.

Powiedział i odwrócił się do kogoś innego. Taćciana powstała, powstała—widzi że nie ma co robić, trzeba się zadowolnić tym, czego się dowiedziała. Spojrzała na tego człowieka bez kropli krwi i bez odrobiny litości w twarzy. W głowie jej przemknęła myśl, że człowiek ten potrafi posłać innego i sam pójść na pewną śmierć, nie zastanawiając się długo nad tym, co go czeka. Taćciana nie traciła jeszcze nadziei, że się on nad nią zlituje i powie coś wyraźniejszego o Grzegorz. Ale przewodniczący tak był zajęty rozmową ze swym towarzyszem, że zdawało się zapomniał o tym, że Taćciana stoi obok niego.

— Więcej mi nie już nie powiecie? Nie nie każecie powiedzieć żonie jego?

— Ach, z wami mieszka żona towarzysza Tałoki? No, to powiedzcie jej, że Grzegorz wkrótce zajrzy do niej.

Taćciana nie mogła już dłużej wyciągać słów z tego człowieka. Prócz tego bolało ją, że Grzegorz „zajrzy“ do żony, jak się wyraził przewodniczący. A ona, matka, zawsze na uboczu zostaje. Niechajby on choć przez omyłkę powiedział, że Grzegorz zajrzy do matki.

Z ciężkimi myślami wyszła Taćciana z rewkomu. Bądź co bądź Grzegorz jest jej synem, więc jakże można tak się z nią obchodzić, jakby z obcym człowiekiem. Ona, w poszukiwaniu Grzegorza, gotowaby pójść na kraj świata, a tu jej mówi, że nie wolno powiedzieć, gdzie jest jej syn.

Taćciana chodziła ulicami miasteczka, mało widziała, co się dokoła niej dzieje, i jedna myśl nie porzucała jej wcale, choć siliła się ona myśl tę odegnać, jak dokuczliwą muchę.

„Skoro przewodniczący nie powiedział, gdzie jest Grzegorz, to może on już nie żyje“, raz po raz uderzała ją, ostra jak nóż, myśl.

Zaczynało się już ściemniać. Miasteczko jakby wymierało potrochu. Na ulicach spotkać można było jedynie ludzi z karabinami na ramieniu. Jeden z nich, spotkawszy Taćcianę, zaproponował jej, żeby szła do domu, bo w nocy chodzić ulicami nie wolno. Taćciana uprzytomniła sobie, gdzie się znajduje i poszła do domu, unosząc w sercu taki ciężar, że dusił ją, będąc nad jej siły.

Gdy Taćciana zbliżała się do swej chaty, to jeszcze zdaleka zwróciła uwagę na niezwykle blask w oknach. Koło drzwi do sionki stało dwóch ludzi w wojskowym ubraniu, z karabinami w ręku. Nie pozwalając Taćcianie zbliżyć się, spytali ją, co ona za jedna i dokąd idzie. Taćciana tak była zdumiona, że długo nie mogła odpowiedzieć na pytania. Wojskowi kazali jej nie zatrzymywać się i ruszać dalej, gdzie jej trzeba iść. Wówczas dopiero Taćciana odpowiedziała, że jej właśnie trzeba do siebie do chaty wejść, ale jej nie wpuszczono. Zaczęła się dopytywać, czemu to jej nie wolno do własnej chaty wejść i kto się tam teraz znajduje. Odpowiedzi na te pytania Taćciana nie otrzymała. Nie wiedziała co robić, co ta cała historia znaczy. Tylko po długich prośbach jeden z wojskowych zgodził się wywołać z chaty swego dowódcę.

Taćciana osłupiała, spostrzegszy, że z chaty wyszedł Grzegorz. Ujrawszy matkę zatrzymał się na progu. Taćcianie zdawało się nawet, że chciał on się cofnąć do sieni, ale potem stanowczo ruszył ku niej i wprowadził ją do chaty.

Koło stołu siedziało trzech czy czterech ludzi, w skórzanym, jak u Grzegorza, kurtkach, jeden zaś stał pośrodku izby, w jakiejś obcej niezwyklej odzieży. W chacie cicho było—jak w grobie. Wszyscy patrzyli na Taćcianę, nie spuszczając z niej oczu; ona zaś, wyszedszy z ciemności, rozglądała się dookoła nienawykłemi do światła oczami.

— Czy nie chcesz poznać ninie, matko?

— Michaś!

Nieludzki, zwierzęcy ryk nappełnił chatę, zadźwięczał w szybach okienek, i rozległ się głuchy stuk padającego ciała. Michaś rzucił się podnosić Taćcianę, ale nie mógł dać rady jedną ręką, a tylko umazał matkę krwią, co mu ściekała z prawej ręki.

— Choćbyś się nie dotykał jej brudną swą krwią,—szorstko, patrząc wprost w oczy Michasiowi,—powiedział brat.

— Mówiłem ci już przedtym: co chcesz rób ze mną, ale przestań łajać,—odpowiedział Michaś.

W chacie znów zrobiło się cicho; nikt nie wiedział co mówić w obecności matki. Taćciana przyszła do siebie, ale tak była oszołomiona nieoczekiwanym spotkaniem z obu synami jednocześnie, że nie mogła wymówić ani słowa, tylko szeroko otwartymi oczami spoglądała to na jednego, to na drugiego. Wszystkie te godziny, dni—które spędzała w dumkach o spotkaniu się z Grzegorzem, nie mówąc już o Michasiu, wszystkie obrazy radości, jakiej się spodziewała z tego spotkania,—wszystko to uciekło z jej głowy wobec tych nieoczekiwanych, niezwykłych okoliczności.

Taćciana tak była oszołomiona i samym spotkaniem i obecnością obcych, nieznanych jej ludzi, że niczym nie okazywała swych uczuć, nie wiedziała nawet, czy ma jakiegokolwiek uczucia.

Grzegorz szerokimi krokami chodził po izbie. Towarzysze jego siedzieli w milczeniu, tylko od czasu do czasu rzucali krótkie spojrzenia na braci. Michaś, jak i przedtym, stał pośrodku chaty w swym oficerskim szynelu, którego prawy rękaw czerwienił się świeżą krwią; krew ta, zdawało się, nikogo nie obchodziła i nie niepokoiła. Olesia, równie jak i matka, przybita była niezwykłością całego zajścia.

— Pytam cię raz jeszcze,—Grzegorz zatrzymał się przed Michasiem,—gdzie jest cała wasza banda?

— POCO tracić słowa napróżno? Zamieńmy się sobą na miejsca, czyż wydałbyś swoich, gdybyś chciał zachować sam dla siebie szacunek,—odpowiedział, podnosząc głowę, Michaś.

— Między nami jest duża różnica: ja bronie państwa naszego, ty zaś związałeś swój los z rozbojem, który jako rozbój, sam przez się prędko wyczerpać się musi.

— Wiem to doskonale i bez ciebie. Sam chciałem rzucić to wszystko, ale nie widziałem miejsca, gdziebym się mógł ustalić. Po drodze z Turowa tutaj byłem u wielu włościan i mało widziałem waszych zwolenników.

— U kogożeś ty bywał? Tułałeś się po szlacheckich zagrodach, po chutorach, bo w wiosce nie miałeś odwagi się ukazać. No, pewno, że szlachta, której przycięto pazury, nie jest po naszej stronie, ale ona nam i nie jest potrzebna.

— Tak czy inaczej, alem się przekonał, że z wami nie mogę się zgodzić.

— Dużo z waszego obozu jest niezgadających się z nami, ależ nie wszyscy podnoszą na nas rękę. Ty zaś poszedłeś na najbrudniejsze, co może być,—i z kim poszedłeś?

— Ty mi, bracie, kazania nie praw.

— Nie jestem ci bratem, jeśli chcesz wiedzieć. Dotąd mówiłem z tobą jak z bratem, a teraz będę mówił, jak z wrogiem!

Matka wsłuchiwała się w ostatnie słowa Grzegorza i odrazu zrozumiała wszystko, choć dotąd nie zamieniła ani słowa z Michasiem o tym, gdzie on był i co robił cały ten czas. Jak błyskawica przecięło jej umysł słowo „bandyta“: to znaczy, że Michaś—bandyta, z którym walczy Grzegorz. Walczy... oto i krew spływa na podłogę. Brat strzelał do brata. Włosy podniosły się na głowie Taćciany z przerażenia i, zakrywszy twarz rękami, rzuciła się ze strachu za drzwi, zawodząc dziwkim głosem. Olesia ledwo zdołała wprowadzić ją z powrotem do chaty.

— Zmuszony jestem oddać ciebie, zakłętogo wroga, w ręce sprawiedliwości,—posłyszała Taściana słowa Grzegorza, skoro tylko Olesia wciągnęła ją do chaty.

Dwaj towarzysze Grzegorza wstali z ławy, przygotowując się do wyprowadzenia Michasia.

Ten z zazdrością spojrział na nich, na Grzegorza i odwrócił się.

— Grzešku, dokądżeż to go powiodą?—szeptem prawie spytała Taściana.

— Do miasteczka, a potem do miasta.

— Cóż z nim zrobią?

— Na co zasłużył, to i zrobią.

Michaś, już koło drzwi, odwrócił się do matki:

— Żegnajcie, matko!

Taściana ze zreżnością kotki rzuciła mu się na szyję, oplótła go ramionami i zawisła na nim.

— Nie puszcę ja ciebie! Trzy latka czekałam, codziennie, co godzina... Codziennie widziałam cię w grobie i codziennie jawiłeś mi się w myślach, w sercu. Nie oddam ja ciebie nikomu!

Wszyscy stanęli dokoła, nie wiedząc co począć. Grzegorz, poblady, odwrócił się do okna i pilnie w nie patrzył, jakby się czemuś na podwórku przyglądał. Towarzysze jego czuli się jeszcze gorzej. Taściana biła swą zwichrzoną głową o pierś Michasia i straszny jęk rozlegał się w chacie.

— Matko, dosyć, tym nic nie pomożesz,—odezwał się Grzegorz drżącymi ustami.

— Grzešku, syneczku, nie daj go, nie daj!

Taściana już klęczała przed Grzegorzem, całowała jego ręce i w paroksyźmie wpijała się zębami w jego palce. Grzegorz podniósł ją i silnie trzymając, poniósł na łóżko. Nim ją ułożył Michasia z jego strażą nie było już w chacie.

Czas jakiś w chacie była przerażająca cisza. Taściana leżała nieruchomo, niemrugającymi oczami patrzyła przed siebie

i nie nie widziała. Grzegorz stał nad nią gotów podtrzymać ją na wypadek ataku. Taćciana zaczęła ujmować wzrokiem to, co było przed jej oczami. Długo wpatrywała się w twarz Grzegorza, jakby go poznać nie mogła.

— To ty, Michasiu, ze mną? Jakże to dobrze, żeś wrócił, tak cię czekałam, syneczku mój. Pochyl-no się ku mnie,—i zaczęła głaskać Grzegorza po głowie, powtarzając:—ot i mój Michaś w domu, Michaś nie będzie mnie porzucać wcięż, tak jak Grzegorz...

Nagle poznała, kto jest przed nią i kłębkim potoczyła się z łóżka, uciekać przed Grzegorzem.

— Nie rusz mnie, nie rusz, tyś własnymi rękami oddał im brata, precz ode mnie!

— Uspokójcie się, matko! Nic mu się złego nie stanie, posiedzi trochę i wypuszczą go! POCO tak rozpaczać?

— Ty chcesz mnie pocieszyć! Niepotrzebna mi pociecha. Bądź ty przekłety i nie pokazuj mi się nigdy na oczy!

Taćciana spokojnie, zdrewniałymi nogami podeszła do stołu, usiadła na ławie i wlepiła oczy w ten jeden jakiś punkt, który tylko ona widziała. Grzegorz przygotowywał się do drogi, rozmawiał z Olesią, chodził po izbie, zbliżał się do matki, żeby się z nią pożegnać, ale ani słowa, ni spojrzenia nie rzuciła w jego stronę, jakby przed sobą widziała próżnię.

Grzegorz stuknął drzwiami. Taćciana nie posłyszała stuknięcia.

IV

Minęło dni kilka po aresztowaniu Michasia. Po siołach, wsiach i chutorach w okolicy Pietrykowa rozeszły się zatrważające pogłoski. Przechodząc z ust do ust, z jednej wioski do drugiej pogłoski te wzrastały, mnożyły się. O bandytach gadał mały i stary: jedni mówili, że to zwykli rozbójnicy, inni—że

to przebrane carskie czy polskie wojsko, które idzie wypędzać bolszewików. Podczas takich gawęd źle się czuli ci, kto szedł za sowiety i kto był związany z ziemią, nie mógł porzucić gospodarki, żeby umknąć na wszelki wypadek. Bogatsi zaś i szlachetki cieszyli się z tego smutku, który ogarnął wioskę i miasteczko. Słowem nikt nie był spokojny, ale każdy miał swoje przeżycia.

Trwoga, która się wszczęła, szczególnie ogarniała ludzi w nocy. Skoro tylko zmrok zapadał, z różnych stron wznosiły się ku górze czerwone słupy płomieni, które buchały całą noc i zmuszały każdego być w pogotowiu. Prócz tego to tu to tam po drogach znajdowano nie wiadomo przez kogo postrzelonych i porzniętych ludzi.

Gdzieś chodzi wróg, daje znać o sobie, ale kto on taki, o ile jest silny, gdzie się ukrywa—nie wiedział nikt. Ta tajemniczość, niespodziewaność jego czynów, czyniły go jeszcze straszniejszym, tworzyły dokoła niego jeszcze więcej pogłosek i baśni. Nareszcie to w tej to w owej wiosce zaczęli się ukazywać ludzie, o których nikt nie wiedział co to za jedni. Dopytywali się oni, gdzie mieszka ten lub ów obywatel, gdzie się znajduje ta lub owa społeczna czy państwowa instytucja. Każdy odczuwał coś niedobrego w tych dochodzeniach, ale zabrać się do tych śledczych albo bał się, albo się nie chciał.

Pewnego ranka, jeszcze za ciemna, Olesia umyślnie wyszła wcześniej po wodę, by mniej się spotykać z ludźmi. Właśnie chciała wejść z wodą z ulicy do sieni, kiedy zatrzymał ją czyjś głos.

— A czyja wy jesteście, kobieto?

Olesia obejrzała się. O trzy kroki od niej stał człowiek z brodą, wysokiej postaci, porządnie, chociaż z chłopska ubrany. Olesia знаła potrosze wszystkich włościan swojej wsi, chociaż mało się pokazywała, ale takiego nie widziała jeszcze. Olesia

chciała, nie nie odpowiadając, zamknąć drzwi, ale mężczyzna przestąpił próg i szedł za nią wślad.

Olesia poczuła coś niedobrego w tym człowieku, ale nie wiedziała jak i czym go powstrzymać. Nim się namyślała, co robić, nieznajomy był już w chacie i uprzejmie przywitał się ze starą.

— Jaka honorną macie córkę czy synową: nie chciała mi powiedzieć, czyja jest.

— A poco wam to wiedzieć?—spytała Taćciana.

— Tak sobie, przechodzę—widzę nieznajoma kobieta, to się zapytałem.

— A sami skąd jesteście?

— O, ja zdaleka, ale wszystkich tu dookoła znam, bo długo wozilem pocztę między Pietrykowem a Turowem, a was jakoś przedtym nie zauważyłem tu.

— Dawniej mieszkałam w Pietrykowie.

— Ot jak? A czy nie żoną Bazyla Tałoki będziecie.

Taćciana wpatrzyła się w nieznajomego, ale przypomnieć go sobie nie mogła.

Skądżeście znali mego męża?—ze zdziwieniem pytała Taćciana.

— Znam, miał on dwóch synów, z których jednego wzięli niedawno bolszewicy. Ale wy się nie kłopotcie, on wkrótce będzie z wami.

Taćciana nie wiedziała, czemu się dziwić ma—czy uświadomieniu tego człowieka, czy temu, co miało znowu wypaść na jej i syna dolę.

— No, ostańcie zdrowi. Wkrótce zobaczymy się. A ty, kobiecino, nie bądź taka honorna, chociaż i jesteś żoną przewodniczącego,—odezwał się do Olesi, wychodząc za drzwi.

Ten niezwykły człowiek swym nagłym ukazaniem się nastraszył obie kobiety. Olesia odrazu przeczuła w nim wroga. Taćciana zaś nie wiedziała wróg to, czy przyjaciel, ale czuła,

że ten wszystkowiedzący człowiek pokieruje jej życiem—nie-
naprawdę bo wstąpił on tutaj.

Dzień się robił. Olesia nie mogła przemóc swej trwogi. Po-
zostawać nadal w tej głuchej wiosce bez Grzegorza—nie miała
już sił. Postanowiła więc pójść do miasteczka by stamtąd po-
jechać do męża gdziekolwiekby był. Taćciana nie przeska-
dzała jej i wczesnym rankiem Olesia poszła do miasteczka.

Grzegorz już kilka dni nie zatrzymywał się nigdzie. Wraz
ze swą nieliczną drużyną, koło piętnastu ludzi, obchodził on
w ciągu doby dwie—trzy gminy, zaglądając do wszelkich zaka-
marków, gdzie mogliby się ukryć bandyci. Ale z dniem każdym
praca stawała się żmudniejsza, bo trzeba było, spotykając się
po lasach ze znacznymi oddziałami wroga, wytrzymywać praw-
dziwe potyczki; wioski zaś pełne były bandytów, którzy się
zakradali po dwu lub trzech ludzi, których wysledzić było bar-
dzo trudno. Oddział Grzegorza wciąż się zmniejszał liczebnie,
a pozostali mieli jeszcze bardziej utrudnione zadanie. Utrzy-
mywać związek z rewkomami było coraz trudniej. Już dwa
dni oddział nie miał żadnych wieści z Pietrykowa. Poszczególni
ludzie, których Grzegorz wysyłał do rewkomu—nie powracali
i niewiadomo było, dochodzili oni czy też nie do oznaczonego
miejsca. Tego dnia, w którym Taćcianę odwiedził ów niezwy-
kły człowiek, oddział Grzegorza otoczony został w lesie i jedy-
nie po zażartej walce połowie jego ludzi udało się wyrwać
i uciec; resztę zabitych trzeba było porzucić w lesie. Grzegorz
dzień cały błądził po lesie, kierując się na północ, żeby w nocy
przedrzyć się do Pietrykowa, ale mu się to nie udało.

Taćciana, znalazzszy się sama bez Olesi, nie wiedziała o co
ręce zaczepić. Człowiek ten, co zaglądał zrana do chaty wniósł
jakiś wielki smutek w jej duszę. Michaś znów być z nią może
i nawet prędko. Ale w jaki sposób to się stanie? Może znów
brat przyprowadzi brata, choć teraz już starszy młodszego. Nie,

niech lepiej żaden w ten sposób nie zjawia się tutaj. Koło południa nowe zjawisko zwiększyło jej smutek: koło południa dużo konnych przejechało gościńcem na Pietryków z karabinami i kulomiotami. Po różnaitości ich odzieży Taściana zmiarkowała, że to nie wojsko a ci właśnie bandyci. Zmieszała się też całkiem, gdy z grupy tych ludzi oddzielił się jeden i podjechał do jej chaty: był to ten sam, co zaglądał rankiem.

— No cóż, niema twego przewodniczącego z żoną?—spytał ją, otworzywszy drzwi do chaty.

W głosie jego nie było już najmniejszej uprzejmości, i on podejrzliwie rozglądał się po chacie. Podeszedł bliżej do Taściany i ze złym spojrzeniem zapytał:

— Ty powiedz, gdzie się ukrywa twój Grzegorz. Widzisz, że wiem o nim wszystko, i lepiej dla ciebie, jeśli powiesz.

— Ja za Grzegorzem nie chodzę i gdzie on jest—nie wiem.

— Łżesz! Wy jedna szajka!—i smagnął Taścianę grubym harapem.

Taściana nie odpowiedziała ani słowa, nie spojrzała nawet w jego stronę i, oparszy się o stół, patrzyła gdzieindziej. Nie oczekujący takiego zachowania się, bandyta zmienił się i już uprzejmie począł prosić, by mu Taściana dała odpowiedź. Ale Taściana jakby nie widziała, że ma przed sobą człowieka.

— Dobrze!—zgrzytnąwszy zębami, zawołał:—zobaczymy się z sobą jeszcze i pogadamy jak należy.

I wybiegł za drzwi.

Dzień ciągnął się długo. Olesia nie wracała z miasteczka, i Taściana chciałaby, żeby tam ona pozostała, albo jeśli pójdzie do domu, żeby skręciła z gościńca. Myśl jej coraz częściej i częściej wracała się ku Grzegorzowi, chociaż po tym, co było z Michasiem, nie uważała go już za syna. Zdawało jej się, że dla Grzegorza nic prócz nienawiści odczuwać nie może: ani pożałowania ani litości dla niego w niej już pozostać nie po-

winno. A tymczasem, niby nie, a skoro tylko pomyśli o Grzegorzu coś trwożnie-ciepłego zalewa serce. Przepędzała od siebie myśli o Grzegorzu, starała się usposobić się do niego wrogo, ale nie nie pomagało. Mimowoli pragnęła, żeby do niej przyszedł, żeby go mogła osobiście obronić, ukryć przed niebezpieczeństwem, które, jak przeczuwała, czyhało na niego.

Późno wieczorem, już koło północy, ktoś powoli uchylił drzwi chaty i, rozejrzawszy się na strony, wszedł. Taćciana, siedząca czy to jakby w śnie, czy też w swoich, tak dla niej zwykłych, dumkach nieodrazu zauważyła kto wszedł.

— To ja, matko.

— Czego tu chcesz, Grzegorzu.

— Zmęczyłem się, matko, i dalej nie mam już gdzie iść.

— A kiedy ja się męczyłam, męczę się codzień, toś przyszedł do mnie?

Grzegorz, jak snop, zwałił się na ławę. Taćciana dodała drew do ognia na przypiecku. Twarz Grzegorza była tak blada, że Taćciana widziała białą plamę nawet wówczas, gdy ogień całkiem zamierał i robiło się tak ciemno, że żadnych sprzętów rozróżnić nie było można. Ręce Grzegorza trzęsły się, a wśród dreszczów piana ukazała się koło ust. Matka ze strachem patrzyła na znużoną twarz syna i chwilami zdawało jej się, że Grzegorz kona: tak ciężko poruszała się pierś jego. Podeszła do syna i położyła mu rękę na czole: czoło było mokre od potu i zimne, oczy to otwierały się to znów zamykały.

— Och, jakżem się znużył, matko,—nie powiedział, ale raczej wyjęczał Grzegorz,—a gdzież Olesia?

— Olesia poszła do miasteczka jeszcze zrana i nie wróciła dotąd.

Grzegorz zerwał się i chwiejąc się zaczął chodzić po izbie. Oczy jego rozgorzały. Wsunął do kieszeni rewolwery, które położył był na stole, nacisnął czapkę, i ruszył do drzwi.

— Grzesku, synaczku? Dokądże znowu pójdziesz? Odpocznij—
błagalnym głosem poczęła prosić Taćciana.

— Czy rozumiesz, matko, oni ją zakatują, przecież Pietry-
ków w ich ręku.

— Cóż ty z niemi sam zrobisz, synku? Ich tu cała ćma
przejechała. Zostań!

Objęła go ramionami, ustami zbierała śmiertelny pot z jego
twarzy. Zdawało jej się, że skoro tylko stąpi za próg,
w mrok nocy, to już nie powróci nigdy. Trzymała go, mocno
ściskając w ramionach, jak coś najdroższego na świecie. Puści
go i niepowstrzymana fala porwie go, poniesie, rozbije, a ona
pozostanie samotna na wieki.

— Nie idź, złowią cię oni, strzegą każdego twego kroku,
zagubią cię! Ja cię schowam, obronię, ja siebie wpierw im
oddam, a ty żyj, walcz.

— A jakże z Michasiem? Nie masz do mnie żalu o niego?

Matka zwolniła objęcia i cienie wielkiego bólu i męki prze-
biegły jej twarz. Ale była to tylko chwila. Znow się uchwyciła
syna i odciągnęła go ode drzwi.

— Nie matko, rodzona ty moja, nie zatrzymuj mnie! Ja
powiniennem, ja muszę iść. Niech idę na pewną śmierć, na mę-
ki, ale ja iść muszę! Pomyśl tylko: te psy ją złowią, będą się
znęcać nad jej ciałem, będą katować, bezcześcić, a później
poszarpaną wyrzucą na ulicę. O, ja wiem dobrze co oni robi-
li i robią z naszymi żonami. Ty mnie masz jeszcze może za
kata, żem oddał naszemu sądowi Michasia? Ale żebyś ty wie-
działa, w jakich on podłościach brał udział, powiedziała byś
żem inaczej nie mógł postąpić.

Taćciana jeszcze mocniej ścisnęła syna w ramionach, mó-
wiąc bez słów, że darowuje mu wszystko, za co go winiła
dotychczas.

— Ja nie miałem czasu troszczyć się o ciebie, mateczko,— mówił dalej Grzegorz,— żyjemy w takich czasach, kiedy trzeba walczyć, i ja najlepsze swe lata oddałem zmaganiu się i walce i—nie żałuję. Żebym miał jeszcze dwie-trzy młodości, tobym je oddał. Zrozumiej mnie matko i nie pomstuj na mnie... No, a teraz...

Grzegorz niedomówił i mocno uścisnął Taćcianę.

— No, idź! Ja wszystko zrozumiałam. Idź! Bez jednej łyzy, bez jęku podprowadziła Taćciana syna do drzwi na podwórko i długo stała, patrząc wślad za nim. Grzegorz już zniknął w mrokach nocy, już nie słyhać było jego kroków, a Taćciana stała ciągle.

— Nie wróci,—szeptały jej wyschnięte wargi.

Taćciana weszła do chaty, zatrzymała się koło progu i tak wyraźnie stanęła przed nią myśl o bezcelowości dalszego życia, że ona ze zdziwieniem obejrzała się na całe swe życie—po co ono było potrzebne? Ale nie, przecież ona to wychowała Grzegorza, który może życie postradać, ale za wielką sprawę. Nie, nie żyła ona napróżno, chociaż myliła się tak bardzo i tak długo...

— Ej, ty!—Otwieraj drzwi!—rozległ się silny donośny głos.

Taćciana i palcem nie ruszyła.

Po chwili stanęło przed nią dwóch, od stóp do głowy obwieszonych bronią. Jeden był ten, dawniejszy.

— Gdzie tu ukryty twój bolszewik?—napadł odrazu na Taćcianę.

Nie patrząc na bandytę, odpowiedziała spokojnie:

— Raz już wam powiedziałam, że o synu nic nie wiem, czegoż więcej chcecie ode mnie?

— Łżesz, on tu był niedawno i nie mógł nigdzie wyjść z wioski; my jego dawno łowimy i musisz nam powiedzieć, gdzie jest.

Na krzyk ten odpowiedzią było zupełne milczenie, jakby bandyta krzychał do ściany.

— A, więc nie powiesz? Dalej, Wicek!

Stare ciało Taćciany potoczyło się po podłodze i obeasy Wicka przesunęły się wzdłuż kilka razy. Brodaty bandyta sma-gał ją batem dopóty, aż przestała się poruszać. Bandyci przy-nieśli wiadro wody i obleli poszarpane, zsiniałe ciało. Krew rozplywała się po chacie i zaczerwieniła ziemię. Taćcianę pod-nieśli, ale ustać nie mogła; ani nosa ni oczu widać nie było—wszystko zrównało się z twarzą pobita, czerwono-siną.

— No powiesz teraz—ścierwo?

Milczenie.

Brodacz, jak wściekłe zwierzę, rzucił się na nią, schwycił za gardło i począł rękojeścią szabli sypać uderzenia jedno za drugim.

— Poczekaj trochę,—odezwał się Wicek,—ty ją dobijesz, wtedy nic się nie dowiemy.

Uderzenia ustały. Taćciana leżała rozpostarta na ziemi i nawet nie widać było, żeby oddychała.

— Pewno ją dokonałeś, szkoda.

— Niema czego żałować, wszystko jedno on uciekł, tak jak i ta jego flądra. I jak oni mogli się wymknąć, czart ich wie.

Brodacz ze złością cisnął szablę na ziemię i jeszcze raz z rozmachem kopnął krwawe ciało, jakby na nim chciał spędzić swą wściekłość.

Taćciana westchnęła i przez zlepek krwi wyszemrała:

— Wyście go... nie złapali?... Mnie więcej nic... nie trzeba.. Zemsta będzie.

— A, ty jeszcze żyjesz?—wrzasnął Wicek.

— Nie, ja już żyć nie będę, ale... i wam... panowania... nie ujrzeć!.. Zdechniecie!.. Synku mój, za wszystkich im... oddaj..

Brodacz dwa razy machnął szablą i głowa Taćciany z wybitymi oczami potoczyła się w kąt.

Noc się zbliżyła, jak zwykle. We wsi prześpiewały koguty.

— Na przypiecku tliły się smołowe karcze, a po izbie płażały, trzepotały skrzydłami blade cienie, z zakątków patrzył ślepy zmrok, tylko źrenice jego to zwężały się, to rozszerzały.

Samotne, długie dumki Taćciany uleciały z jej głowy i na skrzydłach świateł i cieni szukały wyjścia z ciasnej chaty na wolny świat.

1964

Бел. адззел

1994 г.

Бел. выд. 1958
Душанбе
СЕНА 45 коп.



В0000002737042

